DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 10 marca, 1888 r. — Nr. 8.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

O świeżym prądzie w sztuce polskiej.

Niewtajemniczonemu w dziedzinę sztuki zdawać się może, że malarstwo, jak każda inna umiejętność, rozwija się stopniowo, że zdobycze na tem polu, przez jedno pokolenie malarzy poczynione, służą za podstawę dla następców, którzy posuwają tę sztukę dalej i że tym sposobem naród dochodzi do swojej narodowej sztuki, zyskując zarazem wydatny objaw swéj żywotności wobec sąsiednich ludów. Tymczasem nie tak się dzieje w rzeczywistości.

Malarstwo, jako sztuka piękna, ulega wpływom kosmopolitycznym w zupełności i nagina się do mody, panującej w tej dziedzinie tak, jak każda inna córa Muzy. Tylko w sztuce nie nazywa się to naśladownictwo cudzoziemczyzny modą, lecz p o s t ę p e m, a artystów, niestosujących się do mody, zalicza się do emerytów, jako „niestojących na wysokości najnowszej sztuki“, gdy miernoty, hołdujące najświeższej modzie, stają się bohaterami dnia.

Jeżeli z owym świeżym prądem w sztuce idzie i całe społeczeństwo ją otaczające w zgodzie, wtedy rozumieją się nawzajem obie strony. Ale gdy naród chodzi swojemi drogami, a reprezentanci sztuki innemi torami, wtedy następuje wzajemny rozbrat, zobojętnienie obopólne i sztuka piękna zamienia się na roślinę z innej strefy, dla której potrzeba opieki cieplarnianej, bo ją swojska atmosfera zmroziła.

Narody nam sąsiednie w Europie mają swój byt państwowy, nic ich narodowemu rozwojowi nie zagraża; umysły ogółu zaprzątnięte są kwestyami socyalnemi i dla tego ideałem ich stało się zaspokojenie żądz ogólno-ludzkich. Wszystko tam ulega temu powszechnemu prądowi, a więc i sztuki piękne nagięły się do ducha czasu i są z nim w zgodzie.

Nasz naród, w odmiennych zupełnie warunkach istniejący, zagrożony utratą swego bytu, za ważniejsze uznaje kwestye narodowościowe, niż socyalne. Inne też żądze ma naród Polski i inne ideały, niż Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy itd. Tem samem i sztuki piękne w innych znajdują się u nas warunkach, aniżeli gdzieindziej w Europie. Reprezentanci polskiej sztuki, chcąc, aby ich naród rozumiał, ich pracy przyznawał posłannictwo, nie mogą ignorować ducha czasu w swej ojczyźnie, nie wolno im służyć cudzym bogom, czuć winni puls życia swego narodu i to mu przedstawiać, co do jego duszy żywo przemawia, co jest dla Polaka ideałem.

Sztuka malarska w Polsce stoi obecnie na rozdrożu i trudno przewidzieć, na którą drogę stanowczo się przerzuci. Wpływy kosmopolityczne na sztukę polską prą gwałtownie, znajdując w tej mierze najsilniejszą pomoc w świeżem pokoleniu polskich artystów, wykształconych za granicą w tym kierunku, oraz w gronie tych, że się tak ich nazwać godzi, patentowanych znawców, którzy swoim wpływem na rodzinnym gruncie obce szczepią owoce. Działalność ich jednakże przynosi ujemne rezultaty, a co najciekawsza, że towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych pod wpływem kosmopolitycznego zarządu karłowacieją.

Cechą najnowszego owego malarstwa jest ślepe naśladownictwo przyrody, jaką artysta ma przed oczami bez względu, czy przedmiot wzięty do obrazu jest pięknym, lub brzydkim. Dalej najwyższym celem modnego obrazu jest zręczność i tak zwany „szyk“ w technicznem wykonaniu. Wobec tego myśl stoi na ostatnim planie. Dla najświeższej mody artystów ideałem jest fotografia, i dla tego wszystkie ich obrazy wydają się kolorowanemi fotografiami, przyczem wszelkie dotychczas za konieczne dla malarza uważane nauki perspektywy, anatomii, estetyki itd. są zbytecznemi. Co i jak zdoła uchwycić aparat fotograficzny, to dla nich jest zupełnie wystarczającym materyałem.

Dotychczas artysta-malarz najprzód szukał myśli do obrazu, potem doń dobierał studya i modele i przeprowadzał konsekwentnie i psychologicznie ideę swoję w całem dziele. Świeżej mody artysta szuka najprzód motywu i modelu w naturze bez względu na zalety tegoż estetyczne, a dopiero potem nadaje swemu obrazowi myśl, czyli nazwę. Dość przejrzeć ilustrowane dziś pisma, aby się przekonać o braku idei w przeważnej liczbie kreacyi malarskich.

Kawałek błota, kupka kamieni na gościńcu, drzewka, sadzone regularnie co trzy sążnie przy drodze, najwstrętniejsze indywiduum szynkowniane, zaledwie człowieka przypominające, szereg kalek odpustowych, jakichś kretynów, mnóstwo rzędem ustawionych kop kolorowych, które mają wyobrażać niewiasty, klęczące i nachylone do ziemi z nabożeństwa, i tym podobne motywa, pozbawione iskierki

piękna, są dziś najulubieńszemi tematami do obrazów dla mistrzów nowej sztuki.

I jakże się tu nie dziwić, że publiczność u nas dla sztuki zobojętniała, skoro spotyka na płótnach swoich malarzy zamiast ideałów narodowych, fotograficzne kopie brzydot, lub najmniej z estetyką zgodne przedmioty?

Głównem dziś siedliskiem sztuki malarskiej w Polsce jest Kraków; w nim się to ścierają owe prądy kosmopolityczne z narodowemi, a chociaż polscy artyści są rozproszeni po obczyźnie, to jednak w Krakowie wystawiają swoje najnowsze prace, a tem samem tworzą jedność z artystami zamieszkałymi w kraju.

Otoż w tym Krakowie dwie instytucye, reprezentujące sztukę malarską, uosabiają dwa z sobą walczące prądy. „Szkoła sztuk pięknych,“ pod dyrekcyą Matejki, utrzymuje tradycyą sztuki narodowej, „Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych“ od kilku lat sprowadza ją wszelkiemi siłami na tory kosmopolityczne. A że dziś „Towarzystwo“ w braku prywatnych nabywców jest jedynym mecenasem pod względem materyalnym dla artystów, więc też wpływ tegoż na dalszy rozwój sztuki stał się silniejszym, niż „Szkoły sztuk pięknych“, a gdyby jej dyrektorem przestał być Matejko, runęłaby sztuka narodowa. Na jej gruzach zakwitłaby sztuka kosmopolityczna, której sobie tak życzy i wygląda z utęschnieniem jeden z krytyków warszawskich. Wedle zdania tegoż szkoły sztuk pięknych są niepotrzebne, bo podtrzymują tradycyą, owę nić, wiążącą pokolenia starsze z młodszemi, gdy dla prawdziwego artysty najświeższego autoramentu tylko sama przyroda winna być mistrzynią. Żadne pojęcia piękna, żadne teoretyczne prawidła estetyki nie powinny krepować nowego adepta sztuki; czego mu sama natura przed oczy nie podsunie, nie godzi się w obrazie przedstawiać, jednem słowem, artysta obowiązany jest do przedzierzgnięcia się w aparat fotograficzny. Wszystko bowiem, co nie osięgnie zalet fotografii, nazywać się będzie w nowej sztuce „manierą“.

Wprawdzie na rozwój sztuki malarskiej tak, jak na rozwój poezyi, żadnego wpływu mieć nie może krytyka; inne tu czynniki oddziaływują, krytycy bowiem tylko konstatują, że taki a taki jest stan obecnej sztuki, i chociaż się im zachciewa dyktować artystom, co i jak mają malować, to jednak płonnemi się okazują w tym względzie rozkazy z góry, plon przed żniwem może być zmarnowanym, ale natury swej przeobrazić nie zdoła; ziarno owsa nie wyda pszenicy.

Patrząc na wystawiane dziś dzieła sztuki polskich artystów, widzi się tę walkę sztuki romantycznej z pozytywną, sztuki tradycyjnej, opartej na ideałach, zaprzągającej naturę do celów wyższych, z sztuką, opartą na aparacie fotograficznym, której najwyższym celem ślepe naśladownictwo natury. Który obóz zwycięży, zobaczymy, jeszcze siły obudwu się równoważą.

Kraków, w marcu. *Walery Eliasz.*

WRÓĆ, ŚNIE MIŁOŚCI!

Mroźny blask nocy, drżąc, cicho spoczywa
Na śnieżnych czołach pochylonych drzew,
Zimowy wicher żałośnie wygrywa
Po ich gałęziach swój posępny śpiew,
Białym całunem ziemia się okrywa.

O! zawyj, wietrze, potężniejszem tchnieniem
Rozbudź gwarzący sennym szumem bór!
Niech się rozgłośnem ozwie smutku pieniem....
Zawyj!... na dziki, niestrojny twój chór
Pierś moja zgodnem odpowie ci brzmieniem.

Smutno!... dni uczuć w tęschnej samotności
Mkną niedzielone do wieczności fal,
Nieozłocone promieniem miłości!...
Żal niespełnionych marzeń serca! — żal
Tych chwil minionych uroczej przeszłości!...

Złoty miłości śnie! wiecznież przede mną —
Pierzchać tak będziesz, jak przed słońcem mgły?...
Ledwieś zabły-nął i zaraz w noc ciemną
Zgasłeś!... tęschnoty bólem serce drży!...
Och! wróć i zostań już na zawsze ze mną!

* * *

Wskazówki dla kobiet.

(Ciąg dalszy.)

Skorośmy przytoczyli cały ustęp korespondenta wiedeńskiego i opisali haft Maryi Antoniny z zeszłego wieku, trzeba coś dodać świeższego, n. p. omówić dary, wręczone w Krakowie arcyksięciu Rudolfowi i dostojnej małżonce jego Stefanii*): „Więc najprzód przecudny wachlarz w średniowiecznym stylu, wykonany przez Maryą Żarską. Na dar ten dla arcyksiężnej Stefanii złożyła się cierpliwość niewysłowiona i talent niezwykłego znaczenia. Wachlarz, złożony z 14 renesansowych liści, ozdobiony został tak zwaną koronką filigranową. robotą, naś'adującą wyroby koronkarskie z XVI w. Rysunek tej roboty, wykonany przez p. Stanisława Barabasza, dyrektora szkoły przemysłowej w Krakowie, odznacza się piękną formą i wybornem zastosowaniem do wymogów tego rodzaju prac, sama zaś koronka, będąca największą ozdobą wachlarza, wykonaną została przez p. M. Żarską, nauczycielkę szkoły robót, a byłą uczennicę znanej „Fach-Schule für Kunststickerei“ w Wiedniu. Koronka składa się z części, dzierzganych cieniutkiemi jedwabiami na nitkach złotych w ten sposób, że środki każdej figury są ozdobione ażurami, spięcia zaś, jako też cyfra arcyksiężnej Stefanii naszyta jest mikroskopicznemi blaszkami, które nadzwyczaj podnoszą delikatne odcienia jedwabiów. Oprawa z ciemnego szyldkretu wspaniałością swoją i bogactwem podnosi artystyczną wartość wachlarza. Na jednej z dwóch jego części umieszczono tańczącą parę krakowską w wypukłej emalii barwy białej i niebieskiej, na drugiej zaś herb miasta Krakowa z koroną cesarską. Ornamenta w złotej, wklęsłej emalii i napis: „Krakow 28. 6. 1887“, wykonane zostały według gustownego rysunku artysty-malarza, p. Tadeusza Rybkowskiego. P. Żarska w pracy swojej złożyła dowód niepospolitej biegłości, znawstwa historyi sztuki i poczucia estetycznego. To też dar jej dla arcyksiężnej Stefanii może być po długie czasy prawdziwą ozdobą każdej wystawy artystycznego przemysłu.

O ile opisany wachlarz wywołał podziw dla pracy p. Żarskiej, o tyle dar dla arcyksięcia Rudolfa imponujące sprawił na wszystkich wrażenie oryginalnością pomysłu, wytwornym smakiem i niezwykłym artyzmem. Dar ten jest dziełem wysoce utalentowanej nauczycielki szkoły robót kobiecych w Krakowie, p. Ksawery Chlebowskiej, która okazała, iż w zakresie artystycznego przemysłu prawdziwą stać się może mistrzynią.

Jest to wspaniały ekran, 1 metr, 15 cm. wysoki i 55 cm. szeroki z białej, jedwabnej materyi, na której przedstawiono „Odpoczynek karawany pod palmą przy studni“, według szkicu malarza dworu sułtańskiego, śp. Stanisława Chlebowskiego.

*) Podług jednego z pism codziennych.

Pod wyniosłą palmą stanął przy kamiennej studni okazały wielbłąd. Na grzbiecie jego w wysokim, ozdobnym koszu rozsiadły się dwie dostojne panie w barwnych szatach, widocznie spragnione po długiej podróży wśród skwaru. Murzyn, wiodący „okręt pustyni“, czerpie wodę do dzbanka, gdy tymczasem inny sługa podaje swym panom czaszę z chłodzącym napojem — Po prawej stronie obrazu buńczuczny emir dumnie wsparł się o arabskiego siwosza, chciwie pijącego wodę, a za nim na karogniadym koniu stanął ktoś z orszaku. Z lewej strony widzimy na pierwszym planie wspaniałego rycerza wschodniego na gniadym rumaku, zajętego żywą rozmową z jedną z pań, opowiadającą męczarnie pragnienia. Dość wspomnieć nazwisko znakomitego malarza, a najlepszego znawcy skarbów, nagromadzonych w sułtańskich pałacach, aby nabrać przekonania, że scena z dalekiego wschodu przedstawioną została z całą potęgą prawdy.

P. Ksawera Chlebowska postanowiła przenieść ołówkowy szkic na jedwab i stworzyć na nim prześliczny obraz przez połączenie sztuki hafciarskiej z malarstwem. Z tego arcytrudnego zadania wywiązała się p. Chlebowska w sposób, przynoszący jej prawdziwy zaszczyt.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

— Szkoda, że nie ma dla niego trochę więcej sympatyi, myśli sobie Rohritz.

— A jednak żądasz, pani, od niego wzięcia dymisyi, dodaje głośno.

— Jeżeli mąż mój miał zamiar zrobić w wojsku karyerę, to nie powinien się był żenić. Nie możesz pan sobie wystawić okropności tego koczującego życia po węgierskich kątach. Mieszkanie z kałużą przede drzwiami, wokoło dziesięć mniejszych dziur, napełnionych zieloną, zepsutą wodą. W pokojach roje prusaków. Zaledwie urządzi się trochę po ludzku to okropne gniazdo, trąbią na wymarsz. W przeciągu roku trzy razy wyprowadzić się musiałam. Co do mnie, jestem wytrzymała na podobne niewygody, ale chodziło mi o Fredzia, nadzwyczaj skłonnego do zaziębienia. Przybyłam z dzieckiem tutaj, a do męża napisałam, zostawiając mu wybór między rodzinnem, a żołnierskiem życiem.

— To krótko, a zwięzłowato, zauważył Rohritz.

— Tak, z początku udawał obrażonego i nie na list nie odpisał. W końcu jednak zatęschnił za.... za dzieckiem i pewnego dnia wpadł do nas niespodziewanie, jak bomba. Przybyciem swojem zrobił nam wielką przyjemność i tak zagustował w nowej naszej siedzibie, że postanowił nie bawić się dłużej w żołnierza. Ale ja mam antypatyą do nagłych postanowień, radziłam mu więc, żeby się nad zmianą zawodu....

— Nad abdykacyą zawodu, wtrącił Rohritz z uśmiechem.

— Jak pan dziś chwytasz mnie za słowa, odparła Katty, wzruszając ramionami, radziłam mu więc tę sprawę zostawić chwilowo w zawieszeniu. Wziął na rok dymisyą, ale obawiam się, że mu się już przykrzyć zaczyna, chociaż pewno i pan przyznać musisz, że pobyt tu jest zachwycającym!

— Tak, w rzeczy samej.

— Willa Erlach ma doskonałe położenie, żadnego sąsiedztwa...

— Wielka to korzyść, mówi Rohritz zamyślony.

— I ja jestem tego zdania, zapewnia Katty. Jedną z najnieprzyjemniejszych stron życia w kołach wojskowych jest konieczność obcowania z wielu niesympatycznemi osobistościami. Towarzysze mego męża byli bardzo przyjemni, dobrze wychowani ludzie — ale ich żony... z niemi przestawać... to okropne! Jestem fanatyczną zwolenniczką samotności, a w ogóle mam wstręt do ludzkiego rodzaju, bo przy najlepszych chęciach są ludzie, których się pozbyć nie można. Przy tych słowach rzuciła przelotne wejrzenie na siedzącą niedaleko generała Stazyą. Proszę cię, baronie, nie brać tej uwagi do siebie.

— Zbytek łaski, odparł Rohritz z ukłonem, chociaż, mówiąc szczerze, postanowiłem i tak....

— Nie sil się pan na frazesa, przerywa mu Katty, wiesz pan przecież, że jesteś mi sympatycznym... i jako dowód... słyszałeś pan pewnie, że zimę tutaj spędzimy zupełnie sami, na co się już naprzód cieszę. Będziemy odgrodzeni od świata śnieżnym wałem; przyjdą święta Bożego-narodzenia, zaproszę dzieci wiejskie ze wszystkich trzech wsi, a zresztą w całym pałacu będziemy tylko my i Freddy. Jako dowód mej dla pana przyjaźni, proszę z całego serca o dzielenie naszej samotności, to mówiąc, położyła robotę i podała mu ręce.

Dziwna istota! Uważa mię za starca, grając przytem sama rolę staruszki, która w obejściu z mężczyznami żadnej nie potrzebuje zachować ostrożności; trochę to oryginalne u młodej i, mówiąc między nami, bardzo ładnej kobietki.

Rohritz, robiąc w myśli powyższe uwagi, zapomina odpowiedzi.

— Czy nie masz pan ochoty? pyta z wesołem ożywieniem pani domu. Drugi raz już się narzucać nie będę.

— Jadą już, jadą! woła tymczasem Anastazya, klaszcząc po dziecinnemu rączkami i drepcąc nogami.

— Nic jeszcze nie słyszę, odpowiada Katty, zresztą to byłoby za wcześnie.

— Ależ słychać turkot kół w alei. Edgarze drogi, szepce Stazya słodko.

Rohritz milczy.

— Baronie Rohritz, mówi błagająco.

— Czy pani życzy sobie czego?

— I owszem, proszę o lornetkę, tylko prędko. I podczas kiedy Rohritz z gniewem idzie po żądaną lornetkę, Stazya szepce: Nie ma w nim nic galanteryi, ale to mię właśnie zachwyca, że wobec mnie gra rolę brata....

— To oni! woła Katty — powóz już skręca w aleję, pozwól pan, mówi, biorąc z rąk Rohritza lornetkę; tak jest, to oni, widzę wyraźnie.

W kilka minut potem słychać turkot zajeżdżającego powozu. Panie z generałem schodzą ze schodów, by przyjąć gości, a Rohritz dyskretnie usuwa się do swego pokoju, nie chcąc przeszkadzać tej rodzinnej scenie. Przez spuszczoną markizę obserwuje powitania. Powóz zatrzymał się, rotmistrz wyskakuje pierwszy, pomagając wysiąść dwom damom. Rohritz z początku słyszy tylko mieszaninę głosów, słowa radosnego powitania, uściski. Na boku stoi generał z najmożliwiej słodkim uśmiechem na ustach, a mały Freddy skacze bezustannie na jednej nodze, prawdopodobnie z nadmiaru radości.

Sytuacya wyjaśnia się w końcu i Rohritz widzi przystojną jeszcze, starszą kobietę w pomiętym, czarnym, podróżnym kapeluszu, czarnych okularach, strzegących od kurzu i czarnym płaszczu, którego pierwotny kolor zniknął zupełnie pod grubą warstwą pyłu, a obok niej.... Rohritz szybko wkłada monokl.... młoda dziewczyna, stojąca obok baronowej, stanowczo „histerycznej żabki“ nie przypomina, ale za to uderzająco podobna do.... tak, ale do kogo, tego przypomnieć sobie nie może. Szukając napróżno w pamięci, przygląda się jej uważnie. Z pod dużego, ciemnego kapelusza widzi bladą, owalną twarzyczkę z parą cie-

mnych, poważnych oczu, z czarującym, na wpół jeszcze nieśmiałym uśmieszkiem i małym noskiem, z koralowemi usteczkami, z pod których wyglądają dwa rzędy białych, równych ząbków — całość przypomina mu czarodziejkę, trochę smagłą i szczupłą, z wyglądającą z pod sukni nóżką Taglioni.

Nie — z „histeryczną żabką“ Stelli porównać nie można — ale to dziwne podobieństwo zastanawia go coraz bardziej, tem więcej, że tamtej drugiej przypomnieć sobie nie może.

Myśli jego przerwane zostały nagłem wejściem Leskjewitza.

— Chodź do salonu, Edgarze, i pozwól, że cię krewnym swoim przedstawię, ale *a propos*, cóż za dziwna myśl przychodzi ci do głowy, Stazya coś wspominała, że chcesz jechać do Gracu?

— Adwokat mój w rzeczy samej żąda mego przybycia, ale może się to da inaczej urządzić. W każdym razie spróbuję.

— Brawo, przyjacielu! — woła rotmistrz, ściskając go za rękę — lecz nie marudź dłużej i zejdź zaraz ze mną do salonu.

ROZDZIAŁ IV.

Freddy doznał gorzkiego rozczarowania! Zamiast spodziewanych cukierków, pistoletu, lub książki z powiastkami i kolorowemi obrazkami, gdyż nad temi trzema przedmiotami wyobraźnia jego głównie pracowała, otrzymał od ciotki ozdobne wydanie niemieckiego słownika Sandersa.

— Spodziewam się, że podarek ten sprawił ci przyjemność — mówi Stella z naciskiem, kładąc pyszne wydanie na stole szkolnego pokoju. — Zapłaciłyśmy z jego powodu za pięć kilogramów przewyżkę, a przytem pogniotł mi on jedyny mój, zupełnie nowy kapelusz letni. Pamiętaj o tem....

Freddy, pomimo wątłego zdrowia, odziedziczywszy po rodzicach ogromne zdolności, na swój wiek bardzo daleko był w naukach posunięty. Z rezygnacyą zaczyna przewracać karty ogromnej książki, ale — pomimo szczerych chęci — rady z jej treścią dać sobie nie może.

— Chciałam coś innego dla malca uprosić — mówi Stella, śmiejąc się, do rotmistrza, który w tej chwili wszedł z Rohritzem do dziecinnego pokoju — ale mama twierdzi, że jeżeli nie dzisiaj, to w każdym razie w przyszłości to dzieło będzie Fredziowi użytecznem; nie martw się przeto, mój skarbie — rzecze — zwracając się do chłopca, który z ciężkiem westchnieniem odkłada słownik na półkę — widzisz przecież, że pomiędzy drugiemi książkami słownik najwspanialej wygląda. Na urodziny dostaniesz coś piękniejszego, na co tylko moje szczupłe oszczędności zezwolą — dodaje, całując kędzierzawą jego główkę.

— Stello, Stello! nad czem się tak bałamucisz? — woła silnym głosem baronowa Meineck.

— W tej chwili, mamo! — woła Stella — muszę napisać list do berlińskiego wydawcy i do księgarza — zwraca się objaśniająco do obudwu panów, wybiegając szybko z pokoju.

Ściemniło się zupełnie, kiedy wstano od obiadu. Całe towarzystwo zgromadziło się przed domem, siedząc na mniej, lub więcej wygodnych ogrodowych meblach, pod rozłożystą, kwitnącą lipą. Gwiazdy nie pokazały się jeszcze, lecz na niebie bez chmurki świeci księżyc, rzucając miłe, łagodne światło na taras i siedzące na nim osoby. Wokoło zamku panuje rozkoszna cisza, największy zbytek, jaki dać może pobyt na wsi; przerywa ją tylko monotonny szmer płynącej opodal Sawy, lub daleki, ciężki chód wieśniaka, powracającego wieczorem do domu.

Baronowa Meineck wykłada cierpliwie na pozor słuchającej gospodyni domu nowe wynalazki Pasteura i prezerwatywy przeciw cholerze. Głos jej przypomina głos tragicznej bohaterki na scenie, mówi zawsze starannie zaokrąglonemi zdaniami, jakby się obawiała blizkości stenografa, chcącego jej wykład notować. Uwagi te robi Rohritz, który „nolens volens“ na rękach trzymać musiał niezliczoną ilość czerwonej wełny, którą Stazya, wdzięcząc się i śmiejąc, na złożoną kartę nawijała. Oczy jego bezwiednie zwracają się ciągle w stronę, gdzie Stella, trzymając Freddego na kolanach, opowiada mu bajki z „Tysiąca i jednej nocy.“

Słyszy wyraźnie każde słowo mówiącej, a głos jej miły i pełny jest dla jego czułego ucha przyjemną muzyką.

— Na dziś już dosyć, zresztą już żadnej innej bajki nie umiem — odpowiada stanowczo Stella na usilne prośby chłopca, by mu opowiedziała: „tylko jednę jeszcze, ostatnią bajeczkę.“

— Już nigdy nic mi nie opowiesz? — pyta Freddy, patrząc na kuzynkę wystraszonemi oczami.

— Jutro jeszcze ładniejsze usłyszysz, tylko dziś już nic nie wiem nowego — pociesza Stella chłopca, całując go w czoło. — Zresztą zdaje mi się, że jesteś śpiącym, czy to już czas na ciebie?

— Nie jeszcze — odpowiada za niego rotmistrz — jest śpiącym, bo przeszłej nocy długo nie mógł usnąć z radości przed waszym przyjazdem! Czy chcesz pójść spać? — pyta Fredzia.

Ale Freddy uważa za rzecz niegodną siebie pójść spać razem z kurami i nic nie odpowiadając, wchodzi ojcu na kolana.

— Jesteś już właściwie za stary na podobne pieszczoty — mówi rotmistrz napominająco, tuląc go mocniej do siebie. — Zanadto chłopca psujemy — zwraca się, jakby z usprawiedliwieniem, do Stelli — chorował trochę na wiosnę i do tego czasu uważamy go jako rekonwalescenta, nieprawdaż, chłopcze? — dodaje, całując miękkie jego włoski. Ale Freddy odpowiada coś niezrozumiałego, układając się wygodniej na ramieniu ojca, a Stella okrywa gołe jego nóżki czerwoną, zdjętą z ramion chustką.

— Dobrze się śpi, prawda? — mówi do Fredzia. — Mój Boże — ciągnie z ciężkiem westchnieniem — dla mnie minęły już te czasy, gdzie ojcu na kolanach siadywałam, a były to najszczęśliwsze z mego życia chwile — kończy cichym szeptem.

— Ależ, baronie, proszę spokojniej trzymać ręce — woła Stazya do swej ofiary. — Poruszasz pan niemi ciągle.

— Żebyś wiedział, jak się na zobaczenie z wami cieszyłam i na spędzenie kilku dni na wsi — zaczyna po chwili milczenia Stella.

— Czyż nie mieszkacie na wsi? — pyta rotmistrz zdziwiony.

— Na wsi?... mieszkamy w Calow, a to jest wielka różnica. Tak, przed trzynastu laty, kiedy mama, zachwycając się pięknem położeniem, kupiła w Calow młyn, wprawdzie bez młyńskich kół i młynarza, wtenczas byliśmy na wsi, gdzie oprócz nas i kilku chłopów mieszkała na przeciwnym końcu wsi w jednopiętrowym domeczku jakaś stroniąca od ludzi wdowa. Przeciw chłopskim chatom nic nie mam, szczególniej, gdy mają słomiane dachy, porosłe zielonym mchem; a stroniące od ludzi wdowy nic mnie nie obchodzą. Ale od dziesięciu lat w poprzek Calow wybudowano kolej; od tego czasu co rok nowe około naszego młyna budują wille. Ale cóż za wille! a jeszcze gorsi ich właściciele.... wszyscy jeden w drugiego zbogaceni rzemieślnicy z Pragi. Najbliższym naszym sąsiadem jest jakiś fabrykant pończoch; wybudował on dwie wille, jednę do wynajęcia, a drugą dla siebie i swej rodziny przeznacza na letnie mieszkanie; twierdzi, że budowane są w stylu rokoko z greckiemi przedsionkami i czworograniastą wieżą. Architektoniczne te bliźnięta przezwał Giroflé-Girofla i jest przekonany, że sama ta nazwa przedstawia wartość co najmniej dziesięciu tysięcy guldenów. Jest to okropność mieszkać w podobnem sąsiedztwie, ale, niestety! jak do wszystkiego, tak i do tego można się przyzwyczaić. Krawiec nieboszczyka ojca wybudował sobie w Calow myśliwski zameczek w stylu Franciszka I, cudo to leży zaraz nad szosą, odgrodzone od drogi złoconym parkanem; w pobliżu zameczku powycinał wszystkie drzewa z obawy, żeby oczom ludzkim nie zacieniały tych wspaniałości. Niedawno temu

skarżył się przede mną, będąc melancholicznie usposobiony, jaka to trudność dla dobrze wychowanego i wykształconego człowieka znaleźć odpowiednie towarzystwo.

— Czy znacie go osobiście? — zapytał rotmistrz nieprzyjemnie zdziwiony.

— Tak jest, spotykamy się przecież na ulicy, a niedługo wzajemnie odwiedzać się będziemy, na co się naprzód cieszę!...

— Co powiesz na tę dumę, baronie? — syczy złośliwa Stazya.

Ale Rohritz nic nie odpowiada, zapewne pojmuje tę dumę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Zpoza kordonu.

(Dokończenie.)

Przystępuje teraz Autor do rozbioru dzieł Nestora autorów postępowych, Tomasza Teodora Jeża.

Krytyk pomija utwory historyczne, stawiające pisarza w rzędzie pierwszorzędnych talentów, a rozbiera tylko typy i ideały powieści społecznych, które nieskończenie niżej stoją od „Uskoków“, „Narzeczonej Harambaszy“, „Szandora Kowacza“ itd. Zasady liberalne wyłażą wszystkiemi szwami powieści społecznych Jeża i wypaczają, karykaturują typy. Książęta, hrabiowie, szlachcice nie posiadają żadnych cech im właściwych, a są tylko stekiem głupoty i nikczemności, nie dają nawet złudzeń prawdopodobieństwa. Chłopi wyidealizowani grzeszą temi samemi brakami prawdopodobieństwa. Naprożno oglądalibyśmy się wokoło siebie, upatrując ludzi podobnych do rojących się postaci pośród społeczeństwa, stworzonego przez tego pisarza. Tomasz Jeż, jako postępowiec, nie mógł pominąć kwestyi żydowskiej — ale jakże smutną tej sprawie oddaje przysługę! „Mamy hrabiów, złotych paniczów, żeniących się z bankierównami, osobami ochrzconemi, wykształconemi i starannie wychowanemi, pisze pan Jeske-Choiński, ale kto słyszał o małżeństwie szlachcica z brudną chałaciarką, zajadającą czosnek, niechcącą zmienić wiary?“ Nie było takiego wypadku ani w Poznańskiem, ani w Warszawie, ani nigdzie. Dla czegoż pisarz-realista wprowadził taką potworność do „Dyplomacyi szlacheckiej — szkiców z Poznańskiego“? W powieściach Jeża nie kłóci się artyzm z teoryami, jak u p. Orzeszkowej, ale pozwala się przez nie wypaczać. Dla czego? Bo pisarz, stojąc zdala od kraju, nie patrzy w życie, nie odtwarza go z natury, tylko naciąga je do założenia swego bez skrupułu.

Z pomiędzy powieści społecznych autora „Uskoków“ zasłużyły na uznanie krytyka następujące: „Historya o prapradziadku“, „Historya o praprawnuku“ i „Wnuk chorążego“, wedle jego zdania bowiem historyk odnajdzie w nich typy ludomanów, których Polska liczyła znaczną liczbę w swoim czasie, a których pamięć ze czcią winna być wspominaną. (Typami takimi byli: Brzostowski dawniej, a Kicki w ostatnich czasach — przyp. recen.)

Po Jeżu podchodzi pod rozbiór krytyczny Michał Bałucki, szczery liberał, szukający na bruku krakowskim typów odpowiednich dla swych tendencyi. Artyzm płata mu także często figla, postacie nie zawsze bywają zgodne z założeniem, lecz ponieważ nie posiada głębokiej intuicyi poetyckiej pani Orzeszkowej, zdarza mu się często skarykaturowanie postaci ludzkich dla dopięcia celu.

Dobrobyt jest również ideałem bohaterów Bałuckiego, chciałby on nawet umysły duchowieństwa katolickiego skierować ku tymże ideałom, jak w „Siostrzenicy proboszcza.“ Zakładanie fabryk, budowanie mostów i kolei żelaznych jest zasługą obywatelską podług tego pisarza.

Następnie p. Jeske-Choiński ocenia działalność Aleksandra Świętochowskiego, a widzi w nim tylko publicystę i pamflecistę, talentu artystycznego mu odmawiając, ponieważ postacie jego dramatów nie są ludźmi żywymi, tylko teoryami wcielonemi. Po szerszą ocenę tejże działalności odseła czytelników do swej książki p. n.: „Pozytywizm warszawski.“

Bolesław Prus stoi w odosobnieniu od powyższej grupy pisarzy pozytywnych, talent całkiem oryginalny nie dał się nigdy naginać do żadnej teoryi, bohaterowie jego nie nadają się także do wypuklenia tendencyi, są to bowiem dzieci, niedołęgi, półidyoty, słabi, bezradni, a Bol. Prus jest mistrzem w malowaniu takich tylko postaci. Niczego też nie uczą, ani nie dowodzą jego powiastki: „Przygody Stasia“, „Antek“, „Michałko“, „Grzechy dzieciństwa“ i t. d.

Nie apoteozuje też ten pisarz przemysłu w „Powracającej fali“, przeciwnie staje tam po stronie wyzyskiwanych robotników. Jedyna powieść tendencyjna, „Placówka“, nie udała się. Demokratyczny autor chciał w niej bowiem wskazać w chłopie przyszłego obywatela kraju, ratującego ginącą narodowość przez ślepe przywiązanie do kawałka ziemi; tymczasem wprowadzony tam bohater Ślimak nie posiada danych do spełnienia powyższego zadania. Ograniczony a chytry, nieszlachetny a lękliwy gotów był już sprzedać kawałek ziemi Niemcom, tylko zaklęcie umierającej żony go powstrzymywało. Smutnie wyglądałby kraj, któryby na takich tylko obywatelach się opierał. Jako beletrystę trudno przychodzi Prusa pomiędzy pozytywnych zaliczyć, choć w swoich tygodniowych kronikach, w których lubi zajmować się społecznemi kwestyami, okazuje się postępowcem krańcowym.

Adolf Dygasiński wedle sądu Jeske-Choińskiego jest uczonym teoretykiem przede wszystkiem, a teorye jego to nie hasła liberalizmu, w imie których walczyli: Orzeszkowa, Marenowa, Jeż i Bałucki, ale zasady darwinizmu i filozofów-materyalistów, walka o byt i dobór naturalny. Głód i miłość wedle tego pisarza rządzą światem, tak samo zwierzęcym, jak ludzkim. Pojęcia o szlachetności, o cnocie, honorze, nie są nawet czczemi frazesami, bohaterowie Dygasińskiego są złodziejami, oszustami, nieznającymi skrupułów sumienia; szuka on ich pomiędzy chłopami przeważnie, ale i hrabiowie, baronowie, bankierowie jego nie są lepsi. Autor ten nie żywi uprzedzeń, ani sympatyi do poszczególnych stanów, nie jest wrogiem szlachty, jak Jeż, ani nieprzyjacielem kapitału, jak Prus — ale na cały świat patrzy przez szkiełka teoryjek naukowych, nie rzadko zaś zwierzęta bywają u niego szlachetniejsze od ludzi. A dla czego? Bo świat zwierzęcy rzeczywiście pisarz ten obserwował z natury i potrafił w nim dopatrzeć się niekiedy instynktów szlachetniejszych, od których ludzi z góry odsądził.

Krytyk przyznaje jednak Adolfowi Dygasińskiemu artyzm, i na dowód przytacza piękne malowidła przyrody i sceny między zwierzętami, zdradzające mistrzowskie pióro.

Do pozytywistek zaliczył także Jeske-Choiński Maryą Szeligę i Zofią Urbanowską.

Ta ostatnia zawdzięcza umieszczenie swe w rzędzie liberalnych pisarzy powieści p. t. „Księżniczka“.

Pozwolę sobie zrobić tu uwagę, że autorka ta pisała wedle warunków, bardzo szczegółowo podyktowanych przez komitet konkursowy, i że uwieńczenie zawdzięczała właśnie ścisłemu zastosowania się do tychże warunków, było to przy ogłoszeniu wyroku sędziów powiedziane wyraźnie.

Autor „Typów“ upatruje w Zofii Urbanowskiej szczególny kult dla pracy przemysłowej i szukanie ideałów w dobrobycie.

O Wili Zyndram, Kościałkowskiej, Ostoi, Hajocie rozpoczyna rozdział następującemi słowami: „Przy samym końcu 1868 r. wydrukował „Prze-

gląd tyg.“ artykuł p. t. „Groch na ścianę“, zwrócony przeciw zapoznanym wieszczom owego czasu.

„Za to przeniewierstwo dwudziestu tysiącom spłodzonych przeze mnie rymów — drwi autor tego artykułu — wielki Apollo skazał mię na czytanie wszystkich wierszy, jakie pomieszczone są w szpaltach literackich prasy warszawskiej. Mam nadzieję, że policzonem mi to zostanie w przyszłem życiu, jako pokuta za grzechy, odbyta już na tym padole płaczu. Ach! Ileż to razy odbywałem dantejską wędrówkę po kręgach rymów, chcąc się spotkać z myślą, ileż razy rzewnemi spłakałem się łzami, nad sonetem „Do białej róży“, jakże nasiąkłem wśród ranków, biegając za gwiazdą w sukience, utkanej z zorzy... Często kaleczyłem sobie ręce o ciernie, szukając kwiatów, często trwoniłem czas, przysłuchując się fletniom wierzbowym i echom grającego wiatru z dzwonkami w dąbrowie. A los szyderca rozwiewał mi w nicość pyłki, lub przesypywał same plewy, gdy się dobadać chciałem ziarna. Ale szczytem mojej męczarni były wieszcze płody pseudonimów-kobiet. Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila: Floryanie, Zbigniewie, Safony, Liliany, Wandy, Adele! Wy, co karmicie się lazurem i esencyą liliową, czemuż musiałem z wami cierpieć?“

Słowa powyższe zastosowane zostały do nowelistów tegoczesnych, płaczących nad niedolą Antków, Kubasiów, Jędrków, Maryś, lubujących się w kalekach, idyotach, ulicznikach i tym podobnych bohaterach.

Cały ten legion płaczek literackich, będących dziś plagą redakcyi, jak niegdyś sentymentalne Liliany, Wandy, Aniele, zapatrzył się w Prusa i w Sienkiewicza. Ma się rozumieć, że fale Lety przepłyną niebawem po tych pesymistach i filantropach, dzielących się z publicznością przy pełnej misce wrażeniami głodnych. Wydobywać ich z zapomnienia byłoby zbyt wielką sumiennością kronikarską“

Okrutny to wyrok i trochę bezwzględny, bo trzeba brać w rachubę popyt na takie drobiazgi, do którego podaż musi się stosować. Niejednokrotnie twierdziłam, że wydawcy rozbijają literaturę tegoczesną na pyłki.

Pani Konopnicka wedle sądu Jeske-Choińskiego stanęła także w owym rzędzie płaczek, wtorujących chórowi ogólnemu.

Mam nadzieję, że to, co napisałam o książce „Typy i ideały“, zachęci Czytelników „Domu polskiego“ do przeczytania jej w całości, rzucone tu są tylko główniejsze rysy, wykończenie których naucza wiele i daje obraz ogólny duchowego oblicza czasów, w których żyjemy. *A. M.*

SIOSTRZENICE MAZARINIEGO

przez

KLARĘ REICHER.

(Dokończenie.)

Gdy Mazarin cztery starsze siostrzenice „zaopatrzył“, powołał następną Maryą Mancini z klasztoru dla rozweselenia swej samotności. Marya Mancini nie była piękną w całem znaczeniu tego wyrazu, jednakże urok tajemniczy, jaki wywierała, tak podziałał na łatwo zapalającego się króla, iż tenże zakochał się w niej szalenie, silniej nierównie, niż poprzednio w siostrze jej Olimpii. Była to zresztą może jedyna prawdziwa skłonność w całem jego życiu, tak obfitem w miłosne awantury, która go opanowała i zrobiła niewolnikiem prawie. Przyznać należy, że Marya w każdym względzie wywierała na niego wpływ zbawienny, uszlachetniała jego myśli, zajmowała go odpowiednio stanowisku, pobudzała do czynu i wielkich idei i wiernie stała mu u boku w złej i dobrej godzinie.

Ale tego właśnie wuj-minister nie pragnął i nie potrzebował. Jako oddane sobie narzędzie planów własnych, chętnie byłby widział Maryą w pobliżu króla, lecz nie jako roztropną doradczynią młodego monarchy, drogę mu zachodzącą! To też, gdy Ludwik XIV Maryą Mancini chciał zrobić królową Francyi, wuj jej własny, działając zgodnie z królową matką, przeszkodził temu. Rozłączył kochającą się parę, a kiedy młody król ze łzami żegnał Maryą, ta rzekła dumnie: „Kochasz mnie i jesteś królem, a ja.... odchodzę.“

Ludwik XIV poślubił potem córkę Filipa IV hiszpańskiego, infantkę Maryą Teresę. Związek ten nader korzystny pod względem politycznym okrył Mazariniego, który go do skutku przyprowadził, świeżą sławą.

Marya Mancini na rozkaz wuja oddała rękę Kolonnie, który, jakkolwiek ostry i excentryczny, zdawał się być niezłym małżonkiem, póki Marya lekkomyślnem życiem nie przyprowadziła go do szalonej zazdrości. Wybuchnął wtedy z całą surowością charakteru, z żoną obszedł się okrutnie, obił ją i zamknął — w końcu jednak uciekła wspólnie z siostrą swą Hortensyą, bawiącą właśnie wtedy w Rzymie u niej.

Dobrze przysposobiona ucieczka zupełnie się udała. Marya przybyła szczęśliwie do Paryża, gdzie spodziewała się uzyskać pomoc i opiekę królewską. Wszelako nadzieja ją zawiodła i siostrzenica Mazariniego zmuszoną była uciekać z miejsca na miejsce, przebiegając całą Francyą, Włochy i Hiszpanią, wszędzie prześladowana przez mściwego małżonka. Los tej kobiety, która w wiośnie życia okazywała tyle szlachetnych skłonności, a którym spowodowane przez wuja rozłączenie z królem nadało smutny kierunek, pozostał nierozświecony, nie wiadomo nawet gdzie i kiedy umarła.

Wspomniana wyżej młodsza siostra Maryi, Hortensya Mancini, podług przyjętego systemu dopiero po zamęźciu starszej wystąpiła w Louwrze, ażeby wkrótce wyjść za mąż. Hortensya była piękna, utalentowana, śmiała i dowcipna, nic więc dziwnego, iż tłumy wielbicieli wszelkiego rodzaju, jako to: kuzyni, następcy tronu, książęta i królowie leżeli u jej stóp. Pomiędzy nimi był nawet późniejszy Karol II angielski, bawiący wówczas w Paryżu, lecz dumny wuj-minister, nie przeczuwając, że wkrótce starający się o względy Hortensyi osiędzie na tronie królewskim w Anglii, odrzucił prośbę jego o rękę siostrzenicy z całą bezwzględnością. Miał wówczas inne zamiary. Widząc zbliżającą się śmierć, pragnął, aby imię jego z nim nie wygasło. Siostrzeniec Filip, wyniesiony do godności księcia, nie był wcale mężem po jego myśli, przeto wybrał sobie markiza de la Meilleraie pod warunkiem, że tenże zaraz nazwie się „księciem de Mazarin.“ Po ukończeniu interesu nowy przedstawiciel Mazariniego został głównym tegoż spadkobiercą i obok ręki pięknej Hortensyi otrzymał kilka milionów franków, książęce posiadłości i wspaniałe pałace, podczas gdy inni musieli się zadowolić legatami. — Wkrótce po ślubie roku 1661 umarł Mazarini ku wielkiej radości różnych partyi i swego sukcesora, przez nikogo nie żałowany, ani opłakiwany.

Małżeńskie pożycie Hortensyi było bardzo nieszczęśliwe. Młody Mazarin, upośledzony od natury, niewart był utalentowanej żony i takiego majątku. Popełniał mnóstwo niedorzeczności i wybryków dziecinnych, które miały pozor religijnego obłędu. Popsuł na przykład wiele arcydzieł sztuki, mianowicie dzieł rzeźby, zebranych przez ministra; kazał posągi poubierać, żeby „przyzwoiciej“ wyglądały. Nie pozwolił służbie swej gasić w pałacu ognia, jeśli ten wybuchnął, ponieważ podług jego mniemania było grzechem takie sprzeciwianie się woli Bożej. Pewnego dnia posunął się tak dalece, że udał się do króla z wrzekomem poselstwem od archanioła Gabryela, aby zganić mu sposób życia. Oryginalność jego zmieniona w „idée fixe“ rozproszyła i rozrzuciła kolosalny majątek ministra, a najprzykrzej żonie uczuć się dała; tak ją bowiem maltretował, że spokojnie ani spać, ani chodzić, ani jeść nie mogła. Wyjeżdżała zwykle w wielkiej zamkniętej karecie, a skoro tylko młody mężczyzna powiedział jej grzeczne słówko, mąż — zazdrosny do szaleństwa — zmieniał natychmiast

miejsce pobytu. Wszystkie dziwactwa te długi czas Hortensya, jakkolwiek bynajmniej nie łagodnej natury, znosiła z cierpliwością, dopóki nie wziął jej (wydatny rys charakteru tej sławnej piękności) brylantów. Nie mogła dłużej wytrzymać — wystąpiła otwarcie! Za karę zamknął ją w klasztorze, a chociaż z tego powodu Hortensya i jej przyjaciołki sprawiały mu wiele kłopotu, żartował sobie z tego, gdyż widocznie oszalały człowiek lubił wieczny niepokój, wieczną kłótnię. — Występował, jako obrońca, w 300-stu procesach, które prawie przegrał wszystkie. W końcu Hortensya, przebrana po męzku, z przyjaciołką uciekła do Lotaryngii, a gdy książę prosił króla o pomoc, tenże poradził mu szyderczo, aby udał się do archanioła Gabryela, z którym jest w tak blizkich stosunkach.

Ucieczka Hortensyi Mancini była nader awanturnicza. Wstąpiwszy do siostry we Włoszech, jak wspomnieliśmy, dostała się z deszczu pod rynnę. Jakiś czas razem podróżowały, będąc w posiadaniu mnóstwa kosztowności, a często bez niezbędnej bielizny. Potem księżna trzy lata przebywała w Sabaudyi, dzieląc czas między naukowe studya i względy panującego księcia, dla tego po jego śmierci regentka wygnała ją z kraju czemprędzej. Teraz niby wędrowna amazonka w peruce i pióropuszu przeszła całą Europę, aż wreszcie w Anglii, jako kuzyna księcia Yorku, a więcej, jako piękna kobieta z talentem i dowcipem, z radością została przyjętą i prawie 20 lat przeżyła. Trzymała dwór, żyła na wielką stopę, lecz z błyszczącą nędzą, drzwi bowiem jej oblegało tylu wierzycieli, ilu składających jej hołdy, gdyż mąż, z którym połączyć się było dla niej najstraszniejszem okrucieństwem, nic jej dać nie chciał, żądając jej powrotu. Dawny jej wielbiciel, król Karol II, wyznaczył jej roczną pensyą, tę wszelako z upadkiem Stuartów utraciła. Gdy umarła 1699, mąż zaczął tryumfować! kazał zrobić obszerny powóz podróżny, włożył tam jej zwłoki i „na złość“ zmarłej objechał z niemi całą Francyą.

Tak skończyła osławiona księżna Mazarin — kobieta rzadkiej piękności, talentów i dowcipu — wszelako nienajszlachetniejszych zasad, która, jakkolwiek była najbogatszą dziedziczką w Europie, z cudzej łaski żyć musiała! Śmierć jej, jak mówią, nastąpiła z nadmiernego używania gorących trunków. Zostawiła prócz długów złą sławę i historyą życia, własnoręcznie pisaną.

Jedyną siostrzenicą Mazariniego, którą, umierając, zostawił niezamężną, była najmłodsza siostra poprzednich, Maryanna Mancini, jednakże, zdaje się, że minister na łożu śmiertelnem uplanował związek jej z księciem de Bouillon, krewnym sławnego marszałka Turenne, który też, mając lat 15, zawarła.

Piękna, miła, dowcipna, już wtedy odgrywała ważną rolę w świecie literackim, a podczas, gdy przemożna pani protegowała, lub według gustu potępiała talenta (n. p. kazała „Fedrę“ Racin'a na szóstem przedstawieniu wygwizdać, zakupiwszy wszystkie bilety), prowadząc się niezbyt wzorowo, książę małżonek jej znajdował się na wojnie, lub strzelał wilki i jelenie w swych kniejach. Ponieważ Maryanna oprócz tego zawiązała stosunki z znaną trucicielką i wróżką, Voisin, za co ją z Francyi wypędzono, przeto udała się do Anglii, gdzie już siostra jej, księżna Mazarin, się znajdowała. Z tą na spółkę grała w bassetta (włoska gra hazardowa), wesoło czas spędzając, aż pokąd 1689 Wilhelm, książę Oranii, nie zasiadł na tronie, którego surowego obejścia się obawiała. Ten jednak okazał się tak grzecznym, że w własnym yachcie do Francyi ją odesłał. Nie naśladował go w tem wcale Ludwik XIV; gdy go prosiła bowiem o pozwolenie pozostania w Paryżu, odparł: „Możesz pani pozostać, gdzie ci się podoba, tylko nie w Paryżu!“ Mimo to udało się jej, gdyż nie bała się nikogo na ziemi i niebie, a tem samem i króla, osiągnąć cel swych życzeń i osiąść w Paryżu, gdzie nazywano ją „królową Paryża“ i noszono na rękach. Mąż naturalnie wyłączał się z ogółu. Gdy zmarła 1714 już jako matrona, miała być jeszcze bardzo piękną.

W ten sposób przesunęły się po świecie i zniknęły, jak meteory, śliczne siostrzenice Mazariniego. Wszechpotężny minister sądził, że za pomocą wysokich planów i kombinacyi świetnem zamęźciem siostrzenic utrwali swą wielkość i sławę. Lecz to mu się nie udało. Chciał los pokonać, a los z niego zażartował. Jedyny prawdziwie szlachetny i sławny potomek jego rodu, książę Eugieniusz Sabaudzki, wygnany z Francyi, zadał później krajowi, dla którego Mazarin pracował — ciężkie rany.

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 1, 2, 3, 5, 6 i 7.)

Matka nie przeprowadzi nigdy należycie wychowania fizycznego i moralnego swego dziecka, jeśli nie jest w stanie słuchać jego krzyku bez rozdrażnienia, bez niepokoju i jeśli na niezbędną cierpliwość zdobyć się nie może. To też miłość matki powinna wszystkiemi jej czynnościami kierować, aby niemowlęcia nie wystawić na szwank i niebezpieczeństwo niestosownem, lub też zdrowiu dziecka nieodpowiadającem zachowaniem się.

Matka, podająca bez reguły i bez miary pierś niemowlęciu wtedy, gdy o ukojenie go chodzi, niedługo cieszyć się będzie jego zdrowiem.

Niemowlę, karmione piersią zdrowej matki wedle powyższych wskazówek, może dobrze wzrastać i wyżywić się aż do odstawienia, co zwykle się dzieje, jeżeli już rok wieku skończyło i jest zupełnie zdrowe i rozwinięte. Inaczej zaś rzecz się ma z takiem dziecięciem, które jest wątłe, lub jakiemkolwiek cierpieniem dotknięte; ono wymaga utrzymania żołądka i przewodu pokarmowego w niezmienionym stanie i stąd wypada tu przedłużyć karmienie piersią matki aż do szczęśliwszej pory.

Jeśli dziecko jest zdrowe, i skoro już kilka zębów szczęśliwie się u niego wydobyło, można je odłączyć od piersi. W czasie ząbkowania samego, lub też bezpośrednio po temże odstawiać nie wolno; czekać tu wypada jeszcze co najmniej dwa do trzech tygodni.

I pora roku, w której dziecina ma być od piersi odstawioną, nie jest dla niej zupełnie obojętną. Podczas lata gorącego popadają niemowlęta odłączone i następnie mlekiem krowiem karmione, w ostre i groźne poniekąd cierpienia przewodu pokarmowego, o których później przy sztucznem żywieniu niemowląt obszerniej wspomnieć nieomieszkamy.

Zgodzono się powszechnie na to, iż, gdy chodzi o odłączenie, najlepiej jest zaprzestać od razu dawać pierś dziecku, a w razie, gdyby jej się natarczywie dopominać miało, obudzić wstręt do niej, pomazawszy brodawkę roztworem chininy, musztardą, lub gorczycą, co zwykle pomyślnym wieńczy się skutkiem.

Do tej chwili mieliśmy na oku tak zdrową i silną matkę, jak i wzrastające przy dobrym i obfitym pokarmie jej niemowlę.

Zdarza się przecież bardzo często, że po przybyciu na świat dziecięcia piersi matki bardzo małą tylko ilość mleka wydzielają, lub że ono tylko jest rzadkie i ubogie w części pożywne.

Jeżeli ilość mleka jest mała i nie zwiększa się po odpowiednim użyciu pokarmów pożywnych, natenczas wypada nam udać się do innego sposobu żywienia niemowlęcia.

Jeżeli tylko jest możebnem, powinna zdrowa matka starać się o to, aby przynajmniej przez sześć tygodni karmić mogła swe dziecię, a jeśli tego świętego obowiązku już nadal pełnić nie jest w stanie, aby odpowiednią wyszukać żywicielkę, której pokarm — ile możności — także sześć dopiero liczyć powinien tygodni.

Od obowiązku karmienia uwalniają w ogólności nie-

uleczalne i zaraźliwe choroby, które przechodzą dziedzicznie na dzieci — dalej usposobienie matek do cierpień nerwowych, widoczna utrata sił, krwiotoki itp., wreszcie nawet i wiek.

Matki słabowite, liczące przeszło 35 lat, nie powinny karmić własną piersią, gdyż pokarm ich nie jest pożywny, a dzieci następnie popaść mogą w t. zw. angielską chorobę (rachitis). Nie powinny także karmić matki, które nie są w stanie zdobyć się na to, by się wyrzec uciech światowych dla zdrowia i szczęścia swych dzieci, które przenoszą zabawy, podróże, bale, teatr, koncerta, wizytowanie nad święty obowiązek karmienia, wreszcie i te, które w istocie skrępowane są smutną rzeczywistością, iż ciężkie obowiązki zawodowe nie pozwalają im dopilnować niemowlęcia w własnym swym domu, mimo najszczerszych chęci.

Dla całego tego szeregu matek, jako i dla tych, które na zasadzie sądu domowego lekarza karmić nie mogą, lub nie powinny, wypadnie postarać się o zastępczynie, lub też żywić niemowlęta swe sztucznie.

Zastępczynie matek, t. z. żywicielki wybrać nie jest rzeczą łatwą, a zadanie to jest i pozostanie przedmiotem wielkiej wagi. To też uważamy za bardzo ważny i pożyteczny przepis, iż w niektórych miejscowościach władza rozpostarła ścisły i surowy nadzor nad stręczeniem tychże żywicielek, zmuszając każdą z nich do zaopatrywania się w wierzytelne świadectwa z urzędu lekarskiego. Wyborem mamki kierować winien wyłącznie lekarz domowy tej matki, która z owego świętego obowiązku sama wywiązać się nie może, lub, co gorsza, nie chce po prostu.

To też, pozostawiając sąd o mającej się przyjąć żywicielce, o jej rzeczywistej wartości, o jej budowie ciała, stanie jej zdrowia, o własnościach jej mleka, przez badanie mikroskopem ocenionego i t. d., jako nienależący ściśle do naszego tematu, lekarzowi domowemu, pozwolimy sobie wspomnieć raz jeszcze, że na ten cel najodpowiedniejszemi są kobiety między 18-ym a 30-ym rokiem życia, i gdy lata ich zbliżone są do wieku matki. Nie możemy pominąć także wskazówki pewnej o jakości mleka i przymiotach mamki, jaką nam nastręcza wygląd, utrzymanie, sposób ssania itd. własnego jej dziecka. Żądać także winniśmy wiarogodnego świadectwa wieku tegoż dziecka, aby pokarm żywicielki odpowiednim był wiekowi niemowlęcia, mającego odtąd przez nią być karmionem. Pokarm zbyt stary, lub zbyt młody, jednem słowem nieodpowiedni szkodliwie na dziecię wpłynąć może.

Zdrowie i życie niemowlęcia zależy od chwili przyłączenia go do piersi żywicielki od zdrowia tejże

Że kobieta ta ma być czystą, oględną, rzędną, swobodną, nieszukającą zabaw, łagodną i t. d., wie i zgodzi się na to każdy z nas, przecież winniśmy mieć na uwadze, że ideałów nie ma na świecie, i że, wybierając niemowlęciu zastępczynią, zadowolić się trzeba taką, która najmniej wad zdradzać będzie.

Żywicielki nie powinna matka nigdy pomiędzy zwykłe liczyć służebnice i dawać jej uczuć, że ona usługi swe za pieniądze oddaje. Dobrem i łagodnem obejściem się rozbudzi w niej poczucie obowiązku i ochotę szczerą, do spełniania go sumiennie. Przecież nigdy nie powinna matka pozwolić się zawojować przez żywicielkę. Potrzeba tu niezaprzeczenie odrębnego sposobu zachowania się, t. z. taktu, za który matki, umiejące go sobie przyswoić i zachować, sowitą odbiorą nagrodę.

Zdarzają się wypadki, że najtroskliwiej wybrana żywicielka, bez względu na wszystkie zalety, nie stosuje się i zmienioną być musi. Jeśli dziecko, pomimo uznanej dobroci żywicielki, na wadze nie przybiera i nędznie wygląda, to koniecznie o inną z wystarczającym pokarmem postarać się trzeba. (C. d. n.)

Wiadomości artystyczne i rozmaitości.

W Warszawie, na Krakowskiem przedmieściu, w pałacu hr. Krasińskich, w trzech salonach, odstąpionych przez hr. Różę Raczyńską, została w ostatnich dniach z. m. otworzoną staraniem hr. Platera wystawa muzyczna. Nagromadzono tu około 1000 przedmiotów, między któremi znajduje się mnóstwo instrumentów muzycznych, pamiątek po mistrzach, wiele autografów, rękopisów, zabytków z historyi muzyki itp. Ułożony starannie i umiejętnie przez p. Polińskiego katalog tych okazów znakomicie objaśnia każdy przedmiot tak, że nietylko specyaliści, ale i ogół publiczności zoryentować się może wśród tego bogactwa zabytków muzycznych.

Również w miesiącu lutym otworzono w Kołomyi za staraniem hr. Edmunda Starzeńskiego wystawę dzieł sztuki polskiej, oraz starożytności, mających związek z historyą kraju. Katalog wystawy podaje spis wielu zajmujących przedmiotów z obu wymienionych działów. I tak znajdują się tam listy króla Zygmunta III do Chodkiewicza, 2 listy Mazepy, hetmana Ukrainy, zbiór dyplomów pargaminowych, wydanych przez Kazimirza W., Władysława Warneńczyka, dwóch ostatnich Zygmuntów Jagiellonów, zbiór oryginalnych medali królewskich, biblioteka, złożona z przeszło 4000 tomów nader rzadkich i ciekawych druków. Wśród pamiątek i starożytnosci znajdują się tu pałasz i szlify generała Dwernickiego, znaczki do kart Tadeusza Kościuszki, mnóstwo wykopalisk z mogił przedchrześciańskich, bronzowe bożyszcza egipskie, mumie i t. p. cenne pomniki starożytności.

W pierwszych dniach kwietnia rb. przypada 120 rocznica śmierci ks. Baudouin'a, założyciela szpitala „Dzieciątka Jezus," z tego powodu warszawski „Kuryer codzienny" podał myśl wzniesienia pomnika nieśmiertelnemu ojcu ubogiej dziatwy. A że u nas nigdzie nie ma zgody — projekt ten znalazł przeciwników, i w samym „Kuryerze codziennym" powstały stąd dyskusye — zobaczymy później, jaka zapadnie uchwała.

Na wzór wieczorków Mickiewicza urządzono w Krakowie d. 27 z. m. w teatrze staraniem akademickiego stowarzyszenia „Filaretów" wieczorek Krasińskiego. Program był obfity; składały się na niego: koncert na fortepianie p. Jadwigi Iwanowskiej, deklamacya umyślnie ze Lwowa przybyłego p. Żelazowskiego, odczyt p. Graffa o stanowisku Krasińskiego wobec poezyi. Nadto p. Dębicki odczytał pracę prof. Tarnowskiego: „Miłość w poezyi Krasińskiego"; — p. dr. F. Rybicki odegrał wielki koncert Bethowena (es-dur) z towarzyszeniem orkiestry. Część wokalną programu wypełnił śpiew p. Andrzejkowiczównej, również deklamacya przy fortepianie wiersza: „do Elizy", do którego muzykę napisał p. Żeleński. Zakończyły wieczór bardzo piękne żywe obrazy.

LOGOGRYF.

Sylaby: alt, ce, cya, da, e, ei, ej, go, ho, i, il, is, jon, ia, le, li, lu, mar, mar, nach, nia, niec, no, ou, ra, ri, se, ser, tek, tel, tin, to, ty, ty, wa, was, wicz, wrzy.

Znaczenie wyrazów: 1. Bohater znanej opery. 2. Pseudonim współczesnej autorki. 3. Miejsce kąpielowe. 4. Wyspa jońska. 5. Gospoda. 6. Kraj w Ameryce. 7. Biskup chełmiński. 8. Rzeczka w Wielkopolsce. 9. Wykrzyknik. 10. Poeta. 11. Muza. 12. Imie męzkie. 13. Miasto w Niemczech. 14. Matka sławnego wojownika.

Początkowe i końcowe głoski, czytane z góry na dół, tworzą imiona i nazwiska dwóch historyków.

LISTKI.

P. S. T. w Ko. Rzecz dobra, ale ze względów prasowych drukować nie możemy. Rękopis odeślemy.

Pani An. M. Szanowna Pani masz zupełną słuszność; podobne „nikczemności" zasługują na potępienie ogółu, jednakże ze względów osobistych artykułu zamieścić nie możemy. Zostawmy wymierzenie sprawiedliwości Bogu — może się sprawdzi przysłowie: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada."

Autorowi wiersza, „Do mojego słońca:" Ponieważ listy-anonimy piszą zazwyczaj ludzie najpodlejsi, stąd powzięliśmy wstręt nawet do poezyi-anonimów i nigdy z zasady ich nie ogłaszamy, co już niejednokrotnie zaznaczyliśmy na tem miejscu. — Zresztą promienie „słońca" Pana grzeją zbyt silnie w tej martwej i mroźnej porze, stąd wiele nienaturalności. ... radzimy zaczekać do lata, tymczasem myśli dojrzeją!....

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu, — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.